

Ole-Lukøje

Nikt na świecie nie zna tyle bajek, co Ole-Lukøje. Ależ to mistrz opowiadania!

Wieczorem, gdy dzieci spokojnie siedzą przy stole lub na swoich ławeczkach, zjawia się Ole-Lukøje. Ma na sobie tylko pończochy i cichutko wchodzi po schodach; potem ostrożnie uchyla drzwi, niesłyszalnie wkracza do pokoju i lekko psikną dzieciom w oczy mlekiem. W ręku trzyma małą strzykawkę, a mleko tryska z niej cieniusieńką strużką. Wtedy powieki dzieci zaczynają się sklejać i nie mogą już dojrzeć Olego, a on podkrada się do nich od tyłu i zaczyna delikatnie dmuchać im w karki. Dmucha, a główki natychmiast ciążą. Nie ma przy tym żadnego bólu: Ole-Lukøje nie ma złych zamiarów; chce tylko, by dzieci się uspokoiły, a do tego koniecznie trzeba je położyć do łóżka! Oto więc kładzie je, a potem zaczyna opowiadać bajki. Gdy dzieci zasną, Ole-Lukøje przysiada się do nich na łóżko; ubrany jest cudownie – ma na sobie jedwabny kaftan, tylko nie można powiedzieć, jakiego koloru: mieni się to błękitem, to zielenią, to czerwienią, zależnie od tego, w którą stronę obróci się Ole. Pod pachami ma po parasolu: jeden z obrazkami, który rozkłada nad grzecznymi dziećmi, i wtedy śnią im się całą noc najcudowniejsze bajki, a drugi całkiem prosty, gładki, który rozkłada nad niegrzecznymi dziećmi; te śpią całą noc jak kłody i rano okazuje się, że nie widziały we śnie zupełnie niczego!

Posłuchajmy więc o tym, jak Ole-Lukøje odwiedzał każdego wieczoru pewnego małego chłopca o imieniu Hjalmar i opowiadał mu bajki! Będzie ich aż siedem: w tygodniu przecież jest siedem dni.

Poniedziałek

– No proszę – powiedział Ole-Lukøje, ułożywszy Hjalmara do łóżka – teraz uporządkujmy pokój!

I w jednej chwili wszystkie pokojowe kwiaty i rośliny wyrosły w wielkie drzewa, które wyciągnęły swoje długie gałęzie wzdłuż ścian aż do samego sufitu; cały pokój zamienił się w najcudowniejszą altanę. Gałęzie drzew były usiane kwiatami; każdy kwiat piękną i zapachem przewyższał różę, a smakiem był słodszy niż konfitura; owoce zaś lśniły jak złoto. Na drzewach były też bułeczki, które niemal pękały od rodzynkowego nadzienia. Po prostu cud! Nagle rozległy się straszne jęki w szufladzie stołu, gdzie leżały przybory szkolne Hjalmara.

– Co tam takiego! – rzekł Ole-Lukøje, podszedł i wysunął szufladę.

Okazało się, że to tabliczka łupkowa szarpała się i miotła: do rozwiązania zapisanego na niej zadania wkradł się błąd i wszystkie obliczenia gotowe były rozsypać się; gryfel skakał i podskakiwał na swoim sznurku jak piesek; bardzo chciał pomóc sprawie, lecz nie mógł. Głośno jęczał także zeszyt Hjalmara; prawdziwy horror brał, gdy się go słuchało! Na każdej stronie, na początku każdego wiersza, stały cudowne duże litery, a obok nich małe – to była wzorcowa pisownia; obok zaś szły inne, które woображаły, że trzymają się równie mocno. Napisał je sam Hjalmar i zdawało się, że potykają się o linie, na których powinny stać.

– Oto jak należy się trzymać! – mówiła wzorcowa pisownia. – Ot tak, z lekkim nachyleniem w prawo!

– Ach, my byśmy i рады – odpowiadały litery Hjalmara – ale nie możemy! Jesteśmy takie marniutkie!

– Więc угощę was proszkiem dla dzieci! – powiedział Ole-Lukojje.

– Aj, nie, nie! – krzyknęły i wyprostowały się tak, że aż miło!

– No, teraz nie czas na bajki! – rzekł Ole-Lukojje. – Ćwiczmy! Raz-dwa! Raz-dwa!

I doprowadził litery Hjalmara do takiego stanu, że stały prosto i dzielnie, jak każda wzorcowa pisownia. Lecz gdy Ole-Lukojje odszedł i Hjalmar rano się obudził, wyglądały tak samo żałośnie jak przedtem.

Wtorek

Gdy tylko Hjalmar się położył, Ole-Lukojje dotknął swoją czarodziejską strzykawką pokojowych mebli i wszystkie rzeczy natychmiast zaczęły między sobą rozmawiać; wszystkie oprócz pluwaczki – ta milczała i gniewała się w duchu na ich próżność, że mówią tylko o sobie i o sobie, i nawet nie pomyślą o tej, która tak skromnie stoi w kącie i pozwala do siebie pluć!

Nad komodą wisiał wielki obraz w pozłacanej ramie; przedstawiał on piękny krajobraz: wysokie, stare drzewa, trawę, kwiaty i wielką rzekę, która uciekała мимо cudownych pałaców za las, w dalekie morze.

Ole-Lukojje dotknął czarodziejską strzykawką obrazu i namalowane na nim ptaki zaczęły śpiewać, gałęzie drzew poruszyły się, a chmury popędziły po niebie; widać było nawet, jak ich cień sunął po obrazie.

Następnie Ole podniósł Hjalmara ku ramie i chłopiec stanął nogami prosto w wysokiej trawie. Słońce świeciło na niego przez gałęzie drzew, pobiegł do wody i usiadł w łódce, która kołysała się przy brzegu. Łódka była pomalowana na

czerwono i biało, żagle lśniły jak srebro, a sześć łabędzi w złotych koronach, z promieniejącymi błękitnymi gwiazdami na głowach, pociągnęło łódkę wzdłuż zielonych lasów, gdzie drzewa opowiadały o rozbójnikach i wiedźmach, a kwiaty – o przepięknych małych elfach i o tym, co opowiadały im motyle.

Najcudowniejsze ryby o srebrzystej i złocistej łusce płynęły za łódką, nurkowały i pluskały w wodzie ogonami; czerwone, błękitne, duże i małe ptaki leciały za Hjalarem dwoma długimi szeregami; komary tańczyły, a chrząszcze majowe bzyczały – wszystkim chciało się odprowadzać Hjalmarą i każdy miał dla niego przygotowaną bajkę.

Tak, oto była to podróż!

Lasy to gęstniały i ciemniały, to stawały się podobne do najcudowniejszych ogrodów, oświetlonych słońcem i usianych kwiatami. Nad brzegami rzeki leżały wielkie kryształowe i marmurowe pałace; na ich balkonach stały księżniczki i wszystkie były znanymi Hjalmarowi dziewczynkami, z którymi często się bawił.

Wszystkie wyciągały do niego ręce i każda trzymała w prawej ręce ślicznego cukrowego piernikowego prosiaczka. Hjalmar, przepływając мимо, chwycił za jeden koniec piernika, księżniczka mocno trzymała się za drugi i piernik łamał się na pół – każdy otrzymywał swoją część, lecz Hjalmar większą, księżniczka mniejszą. Przed wszystkimi pałacami stały na warcie małe książęta; oddawali Hjalmarowi honor złotymi szablami i obsypywali deszczem rodzynek i cynowych żołnierzyków – oto co znaczy prawdziwi książęta!

Hjalmar płynął przez lasy, przez jakieś ogromne sale i miasta... Przepłynął także przez to miasto, gdzie mieszkała jego stara niania, która opiekowała się nim, gdy był jeszcze malutki, i bardzo go kochała. I oto ją zobaczył: kłaniała się, posyłała mu ręką powietrzne pocałunki i śpiewała ładną piosenkę, którą sama ułożyła i przesłała Hjalmarowi:

Mój Hjalmarze, wspominam cię
Prawie każdego dnia, każdej godziny!
Nie mogę powiedzieć, jak pragnę
Zobaczyć cię znów choć raz!
Ciebież to w kolebce kołysałam,
Uczyłam chodzić, mówić,
I w policzki, i w czoło całowałam,
Jakże miałabym cię nie kochać!
Kocham cię, aniele mój drogi!
Niech będzie na wieki Bóg z tobą!

A ptaszki wtórowały jej, kwiaty przytupywały, a stare wierzby kiwały głowami, jakby i im Ole-Lukojje opowiadał bajkę.

Środa

Ależ lał deszcz! Hjalmar słyszał ten straszny hałas nawet we śnie; gdy zaś Ole-Lukojje otworzył okno, okazało się, że woda sięgała poziomu okna. Całe jezioro! Za to do samego domu przycumował najwspanialszy statek.

– Chcesz przejechać się, Hjalmarze? – zapytał Ole. – Odwiedzisz nocą obce kraje, a rano – znów będziesz w domu!

I oto Hjalmar, ubrany odświętnie, znalazł się na statku. Pogoda natychmiast się wyjaśniła i popłynęli ulicami, мимо kościoła – wokół było сплошне ogromne jezioro. W końcu odплыnęli tak daleko, że ziemia całkiem zniknęła z oczu. Po niebie pędziło stado bocianów; one również zbierały się do obcych ciepłych krajów i leciały długim szeregiem, jeden za drugim. Były w drodze już wiele, wiele dni i jeden z nich tak się zmęczył, że skrzydła prawie odmawiały mu służby. Leżał ostatni ze wszystkich, potem został w tyle i zaczął opuszczać się na swoich rozpostartych skrzydłach coraz niżej i niżej, oto machnął nimi jeszcze raz czy dwa, lecz wszystko na próżno! Wkrótce zahaczył o maszt statku, ześlizgnął się po linach i – бых! – stanął prosto na pokładzie.

Junak podchwycił go i posadził w kurniku razem z kurami, kaczkami i indykami. Biedak bocian stał i smutno rozglądał się wokół.

– Patrzcie no jaki! – powiedziały kury.

A indyk napiął się, jak tylko mógł, i zapytał bociana, kim on jest; kaczki zaś cofały się, szturchały nawzajem i kwakały.

I bocian opowiedział im o gorącej Afryce, o piramidach i strusiach, które biegają po pustyni z szybkością dzikich koni, lecz kaczki niczego z tego nie zrozumiały i znów zaczęły szturchać jedna drugą:

– No, czyż nie jest głupi?

– Oczywiście, że głupi! – powiedział

indyk i serdito zabormotał. Bocian zamilkł i zaczął myśleć o swojej Afryce, sam do siebie.

— Jakie macie cudowne, smukłe nogi! — powiedział indyk. — Po ile arszyn?

— Kwa! Kwa! Kwa! — zakwakały śmieszne kaczki, lecz bocian jakby nawet nie usłyszał.

— Moglibyście się też z nami pośmiać! — rzekł do bociana indyk. — Bardzo zabawnie zostało powiedziane! Ale cóż, to pewnie zbyt pospolite dla niego! W ogóle nie można powiedzieć, by odznaczał się bystrością! No cóż, będziemy bawić sami siebie!

I kury gdakały, kaczki kwakały, i to strasznie ich bawiło.

Lecz Hjalmar podszedł do kurnika, otworzył drzwiczki, skinął na bociana, a ten wyskoczył do niego na pokład — zdążył już odpocząć. I oto bocian jakby uklonił się Hjalmarowi na znak wdzięczności, zamachał szerokimi skrzydłami i poleciał w ciepłe kraje. A kury zaczęły gdakać, kaczki kwakać, indyk zaś tak się nadął, że grzebień cały mu nabiegł krwią.

— Jutro ugotują z was zupę! — powiedział Hjalmar i znów obudził się w swoim małym łóżeczku.

Śliczną podróż odbyli tej nocy z Ole-Lukøje!

Czwartek

— Wiesz co? — rzekł Ole-Lukøje. — Tylko się nie przestrasz! Zaraz pokażę ci myszkę! — I rzeczywiście, trzymał w ręku prześliczną myszkę. — Przybyła, by zaprosić cię na wesele! Dwie myszki zamierzają dziś nocą zawrzeć związek małżeński. Mieszkają pod podłogą w spiżarni mamy. Cudowne mieszkanie, powiadają!

— Ale jakże ja przejdę przez małą dziurkę w podłodze? — zapytał Hjalmar.

— Zaufaj mi! — odrzekł Ole-Lukøje. — Staniesz się u mnie malutki.

I dotknął chłopca swoją czarodziejską strzykawką. Hjalmar nagle zaczął maleć, maleć i w końcu zrobił się wielkości ledwie kciuka.

— Teraz można będzie pożyczyć mundur od cynowego żołnierzyka. Sądzę, że ten strój będzie zupełnie odpowiedni: mundur tak zdobi, a ty idziesz w gości!

— No dobrze! — zgodził się Hjalmar i został ubrany jako najwspanialszy cynowy żołnierzyk.

— Czy raczy pan zasiąść w naparstku swej mamusi? — rzekła do Hjalmara myszka.
— Będę miała zaszczyt pana zawieźć.

— Ach, czy naprawdę sama pani będzie się trudzić, pannico? — spytał Hjalmar, i ruszyli na mysie wesele.

Prześlizgnąwszy się przez dziurkę wygrzioną przez myszy w podłodze, dostali się najpierw do długiego, wąskiego przejścia-korytarza, w którym właśnie tylko i wyłącznie można było przejechać w naparstku. Korytarz był iluminowany gnijącymi szczapkami.

— Prawda, że cudny zapach? — zapytała myszka-woźnica. — Cały korytarz posmarowany jest smalcem! Co może być lepszego?

Wreszcie dotarli do samej sali, gdzie świętowano wesele. Na prawo, szepcząc między sobą i chichocząc, stały wszystkie damy-myszki, a na lewo, kręcąc łapkami wąsy — kawalerowie-myszki. Pośrodku zaś, na wyżłobionej skórcie sera, wznosili się pan młody i panna młoda i całowali się na oczach wszystkich: byli przecież zaręczeni i szykowali się do zawarcia małżeństwa.

A gości przybywało coraz więcej; myszy prawie deptały się nawzajem na śmierć, i oto szczęśliwa para ulokowała się w samych drzwiach, tak że nikomu więcej nie można było ani wejść, ani wyjść. Sala, podobnie jak korytarz, cała była posmarowana smalcem; innego poczęstunku nie było; natomiast jako deser gościom podawano ziarnko grochu, na którym jedna z krewnych nowożeńców wygryzła ich imiona, to znaczy, oczywiście, zaledwie dwie pierwsze litery. Cudo, i nic więcej!

Wszystkie myszy oświadczyły, że wesele było wspaniałe i że czas spędzono bardzo przyjemnie.

Hjalmar pojechał do domu. Trafiło mu się bywać w znamienitym towarzystwie, zato musiał porządnie się skurczyć i oblec w mundur cynowego żołnierzyka.

Piątek

— Po prostu nie chce się wierzyć, ilu jest starszych ludzi, którzy strasznie pragną mnie do siebie zwabić! — rzekł Ole-Lukøje. — Szczególnie pragną tego ci, którzy uczynili coś złego. „Dobry, miły Ole — mówią mi — po prostu nie możemy zmrużyć oka, leżymy bez snu całą noc i widzimy wokół siebie wszystkie swoje złe uczynki. One, niczym brzydkie, małe trolle, siedzą na brzegach łóżka i chlapią nas wrzątkiem. Chętnie zapłacilibyśmy ci, Ole — dodają z głębokim westchnieniem. — Dobranoc więc, Ole! Pieniądze na oknie!” Ale cóż mi po pieniądzach! Do nikogo nie przychodzę za pieniądze!

— Za co byśmy się dziś nocą zabrali? — zapytał Hjalmar.

— Nie chcesz ли znów pójść na wesele? Tylko nie na takie jak wczoraj. Wielka lalka twojej siostry, ta ubrana jak chłopiec i zwana Hermanem, chce się ożenić z lalką Bertą; poza tym dziś są jej urodziny, dlatego przygotowuje się wiele prezentów!

— Wiem, wiem! — powiedział Hjalmar. — Ledwo lalki potrzebują nowej sukienki, siostra zaraz świętuje ich urodziny lub wesele. To już było sto razy!

— Tak, a dziś nocą będzie setny pierwszy, a zatem ostatni! Dlatego też przygotowuje się coś niezwykłego. Spójrz-no!

Hjalmar spojrzał na stół. Stał tam domek z kartonu; okna były oświetlone, a wszystkie cynowe żołnierzyki trzymały karabiny na posterunku. Pan młody i panna młoda zamyśleni siedzieli na podłodze, oparci o nogę stołu; tak, mieli naprawdę o czym myśleć! Ole-Lukøje, przebrany w czarną spódnicę babci, pobłogosławił ich, a wszystkie meble pokojowe zaśpiewały, na motyw marsza, zabawną piosenkę, którą napisał ołówek:

Zaśpiewajmy razem raźniej,
Niech niesie jak wiatr pieśń!
Chociaż para nasza, hej-hej,
Niczym się nie odzwie.
Oboje z cielęcej skóry
Na patykach tkwią bez ruchu,
Za to strojność ich olśniewa —
Radość dla oczu i ducha!
Więc sławmy pieśnią ich:
Hurra! Panna młoda i pan młody!

Następnie młodzi otrzymali prezenty, lecz odmówili wszystkiego, co jadalne: byli syćci swoją miłością.

— Cóż, pojedziemy teraz na dację, czy może wyruszymy za granicę? — zapytał pan młody.

Na naradę zaproszono jaskółkę i starą kurę, która już pięć razy była kwoką. Jaskółka opowiadała o ciepłych krajach, gdzie dojrzewają soczyste, ciężkie kiście winogron, gdzie powietrze jest tak łagodne, a góry mienia się takimi barwami, o jakich tutaj nie mają nawet pojęcia.

— Tam natomiast nie ma naszej zielonej kapusty! — rzekła kura. — Raz spędziłam lato ze wszystkimi moimi kurczętami na wsi; była tam cała kupa piasku, w której mogliśmy grzebać i kopać się do woli! Ponadto mieliśmy otwarte wejście do orrodu z kapustą! Ach, jaka ona była zielona! Nie wiem, co może być piękniejsze!

— Ależ jeden główka kapusty podobna jest do drugiej jak dwie krople wody! — powiedziała jaskółka. — Poza tym tutaj tak często bywa brzydka pogoda.

— No, do tego można się przyzwyczaić! — odrzekła kura.

— A jaki tu chłód! Lada chwila można zamarznąć! Strasznie zimno!

— Tym lepiej dla kapusty! — rzekła kura. — A zresztą i u nas bywa ciepło! Przecież cztery lata temu lato trwało u nas całe pięć tygodni! I jakiż upał wtedy panował! Wszyscy się dusili! Nawiasem mówiąc, nie mamy u nas tych jadowitych zwierząt, co u was tam! Nie ma też zbójców! Trzeba być nic niewartym stworzeniem, by nie uważać naszego kraju za najlepszy na świecie! Takie stworzenie niegodne jest w nim żyć! — Tu kura zapłakała. — Ja również podróżowałam, no przecież! Całe dwanaście mil przejechałam w beczulce! I żadnej przyjemności z podróży!

— Tak, kura to osoba całkowicie godna szacunku! — powiedziała lalka Berta. — Mnie również wcale nie podoba jeździć po górach — to w górę, to w dół, to w górę, to w dół! Nie, przeprowadzimy się na dację, na wieś, gdzie jest kupa piasku, i będziemy spacerować w ogródku z kapustą.

Na tym postanowiono.

Sobota

— A dziś będziesz opowiadać? — zapytał Hjalmar, gdy tylko Ole-Lukøje ułożył go do łóżka.

— Dziś nie ma czasu! — odpowiedział Ole i rozpostarł nad chłopcem swój piękny parasol. — Popatrz-no na tych Chińczyków!

Parasol był podobny do wielkiej chińskiej czary, pomalowanej błękitnymi drzewami i wąziutkimi mostkami, na których stali, kiwając głowami, mali Chińczycy.

— Dziś trzeba będzie przystroić na jutro cały świat! — kontynuował Ole. — Jutro dzień święty, niedziela. Muszę pójść na dzwonnice sprawdzić, czy kościelne krasnoludki wyczyściły wszystkie dzwony, inaczej jutro będą źle dzwonić; potem trzeba na pole — zobaczyć, czy wiatr zmiótł kurz z trawy i liści. Najtrudniejsza praca jednak dopiero przed nami: trzeba zdjąć z nieba i wyczyścić wszystkie gwiazdeczki. Zbieram je do swojego fartucha, ale приходится numerować każdą gwiazdkę i każdą dziurkę, gdzie siedziała, żeby potem rozmieścić je jak należy, inaczej źle będą się trzymać i posypią się z nieba jedna za drugą!

— Posłuchajcie-no, panie

Ole-Lukøje! — powiedział nagle stary portret wiszący na ścianie. — Jestem prapradziadkiem Hjalmara i bardzo ci wdzięczny za to, że opowiadasz chłopcu bajki, ale nie powinienes wypaczać jego pojęć. Gwiazd nie można zdejmować z nieba i czyścić. Gwiazdy są takimi samymi ciałami niebieskimi jak nasza ziemia, właśnie dlatego są takie piękne!

- Dziękuję ci, prapradziadku! - odpowiedział Ole-Lukøje. - Dziękuję! Ty jesteś głową rodziny, „starą głową”, ale ja jednak jestem starszy od ciebie! Jestem starym poganinem; Rzymianie i Grecy nazywali mnie bogiem snów! Miałem i mam wstęp do najznamienitszych domów i wiem, jak obchodzić się zarówno z dużymi, jak i z małymi! Możesz teraz sam opowiadać!

I Ole-Lukøje odszedł, biorąc pod pachę swój parasol.

- No, nie można nawet wyrazić swojego zdania! - powiedział stary portret.

Wtedy Hjalmar obudził się.

Niedziela

- Dobry wieczór! - powiedział Ole-Lukøje.

Hjalmar skinął mu głową, zerwał się i odwrócił portret prapradziadka twarzą do ściany, żeby znów nie wmieszał się w rozmowę.

- A teraz opowiedz mi bajkę o pięciu zielonych groszkach, które urodziły się w jednej łusce, o kurzej nodze, która zaloty czyniła do kurzej nogi, i o igle do cerowania, która wyobrażała sobie, że jest igłą do szycia.

- No, dobrego po trochu! - powiedział Ole-Lukøje. - Lepiej pokażę ci coś innego. Pokażę ci mojego brata, jego też nazywają Ole-Lukøje, ale on nikomu nie ukazuje się więcej niż raz w życiu. Kiedy zaś się ukazuje, bierze człowieka, sadza go na swojego konia i opowiada mu bajki. Zna tylko dwie: jedna jest tak niesamowicie dobra, że nikt nawet wyobrazić sobie tego nie może, a druga tak straszna, że... nie, niemożliwe nawet powiedzieć - jaka!

Wtedy Ole-Lukøje uniósł Hjalmara, podniósł go do okna i powiedział:

- Zaraz zobaczysz mojego brata, drugiego Ole-Lukøje. Ludzie nazywają go również śmiercią. Widzisz, wcale nie jest taki straszny, jakim malują go na obrazkach! Kaftan ma cały wyszywany srebrem, niczym twój huzarski mundur; za plecami powiewa czarny aksamitny płaszcz! Patrz, jak galopuje!

I Hjalmar ujrzał, jak pędził pełnym cwałem drugi Ole-Lukøje i sadzał na swojego konia zarówno starych, jak i młodych. Jednych sadzał przed sobą, innych za sobą, ale zawsze najpierw pytał:

- Jakie masz oceny z zachowania?

- Dobrze! - odpowiadali wszyscy.

- Pokażcie-no! - mówił.

Trzeba było pokazać, i oto tych, którzy mieli wyborne lub dobre oceny, sadzał przed sobą i opowiadał im cudowną bajkę, a tych, którzy mieli przeciętne lub złe, – za sobą, i ci musieli słuchać strasznej bajki. Trzęśli się ze strachu, płakali i chcieli zeskoczyć z konia, ale nie mogli: natychmiast mocno przyrastali do siodła.

– Ale przecież śmierć to najwspanialszy Ole-Lukøje! – powiedział Hjalmar. – I wcale się go nie boję!

– Nie ma się też czego bać! – powiedział Ole. – Tylko pilnuj, żebyś zawsze miał dobre oceny z zachowania!

– Tak, to pouczające! – wymamrotał portret prapradziadka. – W każdym razie oznacza to, że czasem nie zaszkodzi wyrazić swoje zdanie!

Był bardzo zadowolony.

Oto cała historia o Ole-Lukøje! A wieczorem niech on sam opowie ci jeszcze coś innego.